

# Marek Dziewiecki

---

## Bóg Ojciec : wychowująca miłość

---

Studia nad Rodziną 3/2 (5), 115-131

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Marek DZIEWIECKI

## BÓG OJCIEC: WYCHOWUJĄCA MIŁOŚĆ

### 1. Rok Boga Ojca: teologia a duszpasterstwo

Ostatni rok przed Wielkim Jubileuszem Odkupienia poświęcony jest z woli Jana Pawła II szczególnej refleksji teologicznej nad tajemnicą Boga Ojca. W Liście Apostolskim *Tertio Millennio Adveniente* czytamy: „Celem roku 1999, trzeciego i ostatniego roku przygotowań, będzie rozszerzenie horyzontów człowieka wierzącego zgodnie z perspektywą samego Chrystusa: perspektywą prawdy o «Ojcu, który jest w niebie» (por. Mt 5,45), przez którego On został posłany i do którego powrócił (por. J 16,28)” (n. 49). W obliczu Wielkiego Jubileuszu Odkupienia zadaniem wierzących jest pogłębienie świadomości, że „całe życie chrześcijańskie jest jakby wielkim pielgrzymowaniem do domu Ojca, którego bezwarunkową miłość do każdego człowieka, a zwłaszcza do «syna marnotrawnego» (por. Łk 15,11-32), odkrywamy na nowo każdego dnia”<sup>1</sup>. W Bulli *Incarnationis Mysterium* Ojciec Święty kieruje do każdego z wierzących serdeczne zaproszenie: „Niech w ciągu tego Roku Jubileuszowego nikt nie uchyla się od spotkania z Ojcem. Niech nie postępuje jak starszy brat z ewangelicznej przypowieści, który nie chce wejść do domu, by świętować razem z innymi” (n. 11).

W kontekście powyższych wskazań Jana Pawła II cieszy fakt, że w bieżącym roku ukazało się wiele publikacji na temat Boga Ojca i ojcostwa ludzkiego, że odbywały się sympozja i zjazdy związane z tą problematyką. Trzeba jednak pamiętać, że ostatecznym celem wszelkich badań i analiz teologicznych jest przyprowadzanie człowieka do Boga, jest pomaganie człowiekowi, by osobiście spotkał się z Bogiem, by poznał i pokochał Boga, by odkrył i zrealizował powołanie, którym Bóg go obdarzył.

Refleksja teologiczna powinna prowadzić do refleksji duszpasterskiej. Teologia tym bardziej realizuje swój cel, im bardziej staje się narzędziem duszpasterstwa, im bardziej służy ewangelizacji. Przed każdym teologiem stoi zatem podwójne zadanie. Pierwszym zadaniem jest analizowanie w sposób naukowy, a zatem zgodny z określoną strukturą metodologiczną i pojęciową, zawar-

<sup>1</sup> TMA, 49.

tości Pisma Świętego i Tradycji Kościoła. W ten sposób powstaje zwarty system doktrynalny, wyrażony precyzyjnym językiem teologicznym, wspólnym dla specjalistów z tej dziedziny wiedzy i jednoznacznie przez nich rozumianym. Posługując się tego typu językiem w odniesieniu do tajemnicy Boga Ojca, używamy pojęć typu: Pierwsza Osoba Trójcy Świętej, Stworzyciel, Bóg Osobowy, Zbawca, Byt Transcendentny, Ten, który jest, Wszeczmoc, Miłość. Zadaniem drugim teologa jest wyrażanie dorobku teologicznego językiem Ewangelii, a więc „przełożenie” specyficznego języka teologii naukowej na język, jakim posługiwał się sam Jezus. Jest to język prosty, konkretny, obrazowy, zrozumiały dla wszystkich słuchaczy. Innymi słowy istotnym zadaniem teologa jest dobór takiego słownictwa oraz takiego sposobu argumentacji, by prezentowane przez niego treści teologiczne mogły być zrozumiałe i przekonujące dla współczesnego człowieka, z typowymi dla niego możliwościami, ale też z typowymi ograniczeniami i barierami percepcyjnymi. Niniejsza refleksja dotyczyć będzie tego właśnie zagadnienia.

Sądzę, że w odniesieniu do problematyki Boga Ojca można wyodrębnić trzy podstawowe kwestie, które wydają mi się kluczowe w aspekcie duszpasterskim:

- w jaki sposób **nazwać** Boga Ojca?;
- w jaki sposób **zrozumieć** miłość Boga Ojca?;
- w jaki sposób **odpowiedzieć** na miłość Boga Ojca?

### **Nazwać Boga Ojca: Bóg jest miłością**

Pierwszym zadaniem teologa i duszpasterza jest pomaganie współczesnemu człowiekowi, by we właściwy sposób nazywał Boga, by nadawał Mu imiona, które ułatwiają, a nie utrudniają zrozumienie Bożej tajemnicy. Doświadczenie duszpasterskie potwierdza, że nie jest to zadanie proste. Główne zagrożenie wpływa ze spontanicznej tendencji człowieka do traktowania nazw i imion, którymi określamy Pierwszą Osobę Trójcy Świętej w sposób dosłowny, antropomorficzny, bez świadomości, że chodzi tu o słowa i nazwy, które odnoszą się do Boga w sposób analogiczny, a nie bezpośredni.

Powszechnie znane są zagrożenia, które wynikają z pojmowania w ten sposób najczęściej używanego terminu „Bóg Ojciec”. Ci, którzy mają negatywne, niekiedy bolesne doświadczenie własnego ojca, stają przed Bogiem z lękiem i niepokojem sądząc, że jest On podobny do naszych ziemskich ojców. Inni z kolei są przekonani, że skoro pierwszą Osobę Trójcy Świętej można nazwać Ojcem, to Bóg jest mężczyzną. Takie rozumowanie prowadzi do zniekształconego spojrzenia na Boga, a niektórych ludzi – np. środowiska feministyczne – prowokuje do szukania „argumentów” za tym, że Bóg nie jest mężczyzną, lecz kobietą. Tymczasem Bóg jest transcendentny wobec płciowości, gdyż inaczej nie byłby pełnią i potrzebowałby „boga” drugiej płci, jak to ma miejsce w różnych mitologiach. Dosłowne czy naiwne rozumienie nazw i imion, które od-

nosimy do Boga, staje się zawsze źródłem wypaczonego spojrzenia na naturę Boga, a przez to stanowi poważny problem duszpasterski.

Ważnym zadaniem teologów jest zatem formowanie wierzących w taki sposób, aby umieli prawidłowo nazwać Boga i w kompetentny sposób interpretować używane w tym zakresie pojęcia. Po pierwsze, należy przypominać i wyjaśniać, że nazwy i imiona, które odnosimy do Boga w języku duszpasterskim i w życiu codziennym, są z konieczności zaczerpnięte z języka ludzkiego i dlatego odnoszą się do Boga w sposób tylko analogiczny, a nie dosłowny. Po drugie, zadaniem teologów jest uczenie wierzących określać Boga wieloma imionami i pojęciami: np. Ojciec, Abba – Tatuś, Przyjaciel, Pasterz, Król, Sędzia, Wybawiciel. Używanie imion i nazw, które sygnalizują różne aspekty Bożej natury i Bożego działania, zmniejsza ryzyko jednostronnych spojrzeń czy wypaczonych skojarzeń w odniesieniu do tajemnicy Boga. Po trzecie, zadaniem teologów jest eksponowanie tego, co stanowi istotę Boga: „Bóg jest miłością” (1J 4,8). Używanie wszystkich innych nazw czy określeń w odniesieniu do Boga ma o tyle sens, o ile prowadzi do ukazania tej podstawowej prawdy. Z tego powodu dojrzała formacja wierzących wymaga właściwej kolejności oraz hierarchii w prezentowaniu Bożych cech czy imion. Bóg jest przede wszystkim miłością i dlatego nazywamy Go często Ojcem. Takie są bowiem naturalne, ludzkie skojarzenia, gdy myślimy o miłości. Sam Bóg autoryzuje nadawanie Mu takiego imienia, ale jednocześnie objawia – mimo, że objawienie dokonało się w bardzo patriarchalnym kontekście społecznym – że jego miłość jest odzwierciedlana na ziemi zarówno przez miłość ojcowską, jak i macierzyńską.

Z jednej strony należy zatem tłumaczyć historyczno-społeczny kontekst „męskich” obrazów i porównań (np. pan, ojciec, pasterz, król, sędzia), którymi Pismo Święte opisuje Boga i Bożą miłość. W świecie judaistycznym dobry ojciec i szlachetny mężczyzna mógł bowiem zdziałać bardzo wiele. Dobra matka i szlachetna kobieta – mniej, gdyż materialnie i społecznie zależała całkowicie od męża. Z drugiej strony należy ukazywać kobiece obrazy i porównania, którymi Pismo Święte opisuje Boga i Bożą miłość. W dramatycznym dla narodu wybranego momencie Izajasz podkreśla, że Bóg-Miłość kocha nas jeszcze bardziej niż dobra mama kocha własne dziecko: „Czy może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet, gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie” (Iz 49,15). „Jak kogo pociesza własna matka, tak Ja was pocieszać będę” (Iz 66, 13).

Chyba ciągle jeszcze zbyt mało posługujemy się w praktyce duszpasterskiej żeńskimi obrazami i porównaniami, by opisać Bożą miłość. Symptomatycznym przykładem w tym względzie jest polskie tłumaczenie piątej modlitwy eucharystycznej, które pomija porównanie Bożej miłości do miłości macierzyńskiej. Tymczasem oryginalny tekst prefacji mówi, że Bóg kocha nas jak odpowiedzialny ojciec i jak kochająca matka. Jednostronnie „męskie” opi-

sywanie Bożej miłości jest być może jednym z powodów, że mamy w Polsce wyraźnie mniej powołań żeńskich niż męskich.

Pomaganie wierzącym, by rozumieli, iż Bóg jest miłością oraz by w sposób prawidłowy posługiwali się nazwami i imionami, które odnosimy do pierwszej Osoby Trójcy Świętej, nie jest oczywiście jedynym zadaniem duszpasterskim, które spoczywa na teologach. Zadaniem drugim jest pomaganie wierzącym, by rozumieli w jaki sposób Bóg kocha człowieka.

### **3. Zrozumieć miłość Boga Ojca: Bóg jest miłością wychowującą**

Człowiekowi zranionemu konsekwencjami grzechu pierworodnego, grzechami innych ludzi oraz swoimi własnymi winami, trudno jest zrozumieć na czym polega dojrzała miłość, a także co oznacza pokochanie siebie i innych ludzi taką miłością. Każdemu z nas grozi popadanie w skrajności. Czasem bywamy naiwni i pobłażliwi, a innym razem stajemy się agresywni czy bezliłostni. Żyjemy w świecie, który propaguje naiwne spojrzenie na istotę miłości. Nic więc dziwnego, że wiele osób posiada zupełnie błędne wyobrażenia i oczekiwania także w odniesieniu do miłości Bożej. Warto w tym kontekście przypomnieć słowa wypowiedziane przez Woltera: „Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, ale człowiek odpłacił Mu się tym samym”. Człowiek ma tendencję, by wyobrażać sobie Boga i Jego miłość według swoich aktualnych potrzeb i stanów psychicznych. Wielu ludziom trudno jest zrozumieć Bożą miłość właśnie dlatego, że Bóg kocha nas w sposób wierny, bezwarunkowy, nieodwołalny, a jednocześnie w sposób dojrzały, czyli dostosowany do naszej niepowtarzalnej sytuacji oraz do naszego sposobu postępowania. A zatem w sposób, który wykracza poza ludzką mentalność i ludzką logikę.

W tej sytuacji pierwszym zadaniem teologów i wszystkich wychowawców jest demaskowanie karykaturalnych, błędnych wyobrażeń Bożej miłości. Nie sposób omówić wszelkich możliwych błędów w patrzeniu na Boga i na Jego miłość. Popatrzmy więc na te, które są najbardziej typowe. Niektórzy wyobrażają sobie Boga na podobieństwo sędziego czy policjanta, który widzi w człowieku głównie zło i który ściga człowieka, aby go karać. Najlepiej od razu i srogo. Ludzie, którzy mają tego typu wyobrażenia o Bogu, przeżywają strach, bunt, niepokój. Ukrywają się przed Bogiem jak pierwsi rodzice po grzechu pierworodnym i nie potrafią nawiązać z Nim osobistej przyjaźni. Tacy ludzie nie potrafią spotkać się z Bogiem, który jest miłością miłosierną i przebaczącą.

Często z tego typu błędną wizją Boga łączy się przekonanie, że Bóg zsyła nam krzyże i cierpienia. Spotykamy ludzi, którzy mówią o swoim żalu do Pana Boga za to, że zsyła im krzyże, na które nie zasłużyli, na przykład: śmierć kogoś bliskiego, chorobę, wypadek, bolesne konflikty i cierpienia w rodzinie. Ojciec Święty Jan Paweł II podczas pielgrzymki do Ojczyzny w ostatnim roku przed Wielkim Jubileuszem Odkupienia mówił wiele o tajemnicy krzyża i po-

magął nam zrozumieć tę tajemnicę. Przypomniwał, że droga krzyżowa w małżeństwie, kapłaństwie czy życiu konsekrowanym może być drogą świętości i błogosławieństwa. Także wtedy, gdy jest to krzyżowa droga męczeństwa, jak w przypadku 108 nowych polskich błogosławionych męczenników II wojny światowej. Według logiki Chrystusa – błogosławionymi są ci, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, którzy są biedni, odrzuceni, poniżani przez ludzi. Błogosławionymi są ci, którzy zapierają się samych siebie, którzy biorą swój krzyż na ramiona i idą za Nim: za najbardziej Skrzywdzonym i Cierpiącym w historii tej ziemi.

Gdy nadeszła pełnia czasów dla naszego odkupienia, Bóg ukochał nas do tego stopnia, że Jego Syn przyjął nie tylko ludzkie ciało, ale także ludzki krzyż – symbol zbrodni, hańby i okrucieństwa. Odtąd krzyż jest wyrazem tajemnicy, która jest większa niż on sam. A jednocześnie pozostanie znakiem niepokojącym, bo ambiwalentnym. Krzyż Chrystusa nie jest przeciw tym samym, co krzyż złoczyńców, którzy razem z Nim zostali ukrzyżowani. Święty Paweł miał świadomość, że krzyż będzie znakiem powodującym zdumienie i niepokój. Miał świadomość, że głosi Chrystusa ukrzyżowanego, który dla jednych ludzi jest głupstwem, a dla innych zgorszeniem. Takie reakcje nie są czymś przypadkowym. Krzyżem gorszą się ci, którzy nie rozumieją Bożej miłości, którzy marzą o przemocy miłości, czyli o zwycięstwie dobra nad złem kosztem wolności i godności człowieka. Bóg „kochający” w taki sposób nigdy by nie pozwolił się ukrzyżować. Ale też nie byłby Bogiem, który jest Miłością. Za głupstwo krzyż uważają ci, którzy lekceważą miłość Boga do człowieka. Szydzą z Ukrzyżowanego, gdyż są wyznawcami znacznie mniejszej „miłości”. Głoszą miłość na miarę ich własnego serca oraz ich własnych aspiracji: miłość niewierną i nieplodną, miłość prymitywną i odwoalną. Głoszą miłość rozrywkową, która nic nie kosztuje, nie stawia żadnych wymagań, która wycofuje się w obliczu pierwszej próby czy trudności.

Jako źródło mądrości i umocnienia mogą przyjmować krzyż wyłącznie ci ludzie, którzy zrozumieli logikę Bożej miłości. Tej miłości, która jest cierpliwą i łaskawą, która nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, nie dopuszcza bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, która nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą, która wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma, która nigdy nie ustaje (por. 1Kor 13,4-8). Która silniejsza jest niż grzech i śmierć. Z której wszyscy będziemy sądzeni, gdy stanemy twarzą w twarz z Miłością.

Jednak również ci, którzy chlubią się krzyżem Chrystusa, którzy widzą w nim ostateczne potwierdzenie tego, że Chrystus do końca nas umiłował, także oni stoją przed zadaniem nieustannego i pokornego zagłębiania się w tajemnicę krzyża Syna Bożego oraz w tajemnicę krzyża synów i córek tej ziemi. Ten drugi krzyż, nasz ludzki, często okazuje się jeszcze trudniejszy do zrozumie-

nia niż ten z kalwaryjskiego szczytu. Łatwo tu o uproszczenia, o naiwność, a nawet o bezduszne interpretacje. Krzyż Chrystusa jest ceną za miłość. Co w takim razie wyrażają nasze ludzkie krzyże? Czasami one również są ceną za miłość: za miłość małżeńską, rodzicielską, kapłańską, za miłość odpowiedzialnego wychowawcy i wiernego przyjaciela, za miłość patrioty i człowieka sprawiedliwego, za miłość człowieka, który wprowadza pokój, który przebacza, który kocha nawet nieprzyjaciół, który staje się dla innych bezinteresownym darem z samego siebie, który kocha tak, jak Chrystus. Wtedy gdy krzyż jest ceną za miłość, ceną za naśladowanie Chrystusa, droga krzyżowa przemienia się w drogę świętości i błogosławieństwa.

Jednak ludzkie krzyże nie zawsze są ceną za miłość, a ich dźwiganie nie zawsze oznacza kroczenie drogami trudnego błogosławieństwa. Czasami krzyż, który dźwiga człowiek, jest ceną za grzech. Kroczenie drogą takiego krzyża wyraża ludzkie tragedie, aż do ich najbardziej dramatycznych form, takich jak: alkoholizm, narkomania, brutalna przestępczość, rozwody, zabijanie nie-narodzonych. Taki krzyż nie może prowadzić do zmartwychwstania. Może prowadzić do kolejnych upadków. Może zniechęcić, złamać, odebrać wszelką nadzieję, może pogрузić w rozpacz i prowadzić do niszczącego buntu. To o takich właśnie krzyżach mówią najchętniej stacje telewizyjne i radiowe. To takie krzyże opisują z okrutną dokładnością współcześni dziennikarze – „nowocześni” i „humanistyczni”, dla których jedynym tematem tabu jest dobro, prawda i piękno. Ich działalność często zachęca kolejne pokolenia ludzi do powtarzania dramatu poprzedników, a w obliczu cierpienia, do którego sami się przyczyniają, mówią o milczeniu Boga, albo czynią Go odpowiedzialnym za wszelkie zło tego świata.

Tymczasem jedyne, co Bóg nam zsyła, to Jego Syn: Miłość i Prawda. Wszystko inne, także krzyż, nie jest Jego dziełem. Bóg natomiast z miłości do człowieka, pozwolił się przybić do tego krzyża, który wymyślił człowiek.

Niektórzy ludzie w patrzeniu na Boga popełniają inny błąd. Widzą w Nim dobrotliwego i naiwnego przyjaciela, który zawsze jest wyrozumiały i który wszystko przebacza. Tacy ludzie przeżywają kontakt z Bogiem w kategoriach pobożności i naiwnego usprawiedliwiania siebie. Nie stawiają sobie żadnych wymagań. Mylą miłość z egoizmem. Sami są naiwni wobec siebie i sądzą, że Bóg odnosi się do nich w podobny sposób. Tacy ludzie nie potrafią spotkać się z Bogiem, którego miłość wiąże się z prawdą i sprawiedliwością. Zadaniem teologów jest demaskowanie tego typu wypaczeń i pomaganie wierzącym, by rozumieli, iż dojrzała miłość łączy się ze stawianiem jasnych wymagań oraz z egzekwowaniem naturalnych konsekwencji naszych błędów.

Samo jednak demaskowanie błędnych sposobów rozumienia Bożej miłości nie wystarczy. Zadaniem teologów jest opisywanie dojrzałych sposobów rozumienia miłości Boga do człowieka. Chętnie używamy w tym kontekście pojęcia: miłość zbawcza. W rozmowach z młodzieżą i dorosłymi przekonuję

się, że wielu ludzi rozumie to określenie w sposób magiczny. Sądzą, że człowiek może pozostać pasywny, gdyż Bóg zbawia go w tajemniczy sposób, bez wysiłku z jego strony. Aby unikać tego typu naiwnych, magicznych interpretacji, warto wyjaśniać, iż Bóg zbawia nas swoją miłością dlatego, że kocha nas miłością wychowującą. Ten wychowawczy aspekt Bożej miłości w sposób bardzo czytelny ukazuje ewangeliczna przypowieść o kochającym ojcu i odchodzącym synu. Wielu wierzących ma problemy ze zrozumieniem tej przypowieści w sposób pogłębiony i całościowy. Opowiedziana w Ewangelii Łukasza historia syna, który opuszcza dobrego ojca (por. Łk 15, 11-32), nazywana jest zwykle przypowieścią o synu marnotrawnym. Sądzę, że dla celów duszpasterskich słuszniej jest nazywać ją przypowieścią o synu powracającym. Nikt z nas nie żyje w doskonałej miłości i posłuszeństwie wobec Boga. Każdy więc jest w jakimś stopniu odchodzącym synem czy córką. Nie każdy jednak potrafi zastanowić się i wrócić, jak ów syn z przypowieści.

Jezus ukazuje w swej przypowieści ojca doskonałego, który jest symbolem samego Boga-Ojca. Ojciec z opowiadania Jezusa ma dwóch dorosłych synów. Jeden z nich wiernie mu służy, drugi natomiast chce odejść. Ojciec go kocha i nigdy go nie skrzywdził, a mimo to syn wierzy, iż poza domem rodzinnym będzie mu lepiej. Kusi go perspektywa wolności i niezależności. Ma własny pomysł na to, jak być szczęśliwym. Jest to sytuacja znana wielu matkom i ojcóm, których dorastające dzieci uważają, że styl życia proponowany przez rodziców, nie przyniesie im szczęścia. Chcą żyć „nowocześniej”. Chcą być szczęśliwymi bez stawiania sobie wymagań, które płyną z miłości i prawdy. Syn oznajmia ojcu, że odchodzi i że chce zabrać ze sobą swoją część majątku. W tym miejscu przeżywamy pierwsze zaskoczenie. Ojciec nie próbuje zatrzymać syna mimo, że bardzo go kocha i że niepokoi się o jego los. Mógłby użyć nacisku, na przykład nie dając mu jego części majątku. Nie czyni jednak tego, gdyż wie, że do miłości i dobra nie da się przymusić, można jedynie zachęcić własnym przykładem. A to ojciec czynił przez wszystkie lata obecności syna w domu rodzinnym.

Syn odchodzi nie dlatego, że ojciec nie potrafi go kochać (wypomniałby to ojcu przy rozstaniu!), lecz dlatego, że podąża za iluzją łatwego szczęścia, opartego na czynieniu tego co łatwe i przyjemne, a nie tego, co słuszne i wartościowe. Jednak boleśnie przekonuje się, że tego typu „szczęście” jest trujące. Jest formą agonii. Jest miejscem umierania tego, co w człowieku najpiękniejsze. Odchodząc od ojca łudził się, że idzie w kierunku ziemi obiecanej, którą sam sobie wymarzył. Tymczasem w rzeczywistości zgotował sobie piekło na ziemi.

Co w tak dramatycznej sytuacji czynią rodzice? Zwykle nie wiedzą jak postępować wobec błędzącego syna czy córki i w jaki sposób ich kochać. Rzeczywiście niezwykle trudno jest kochać kogoś, kto daleko odchodzi i kto bardzo błędzi. Większość rodziców reaguje na taką sytuację bardziej emocjami niż miłością. U jednych zwycięża rozzalenie, a nawet nienawiść. Wycofują



miłość. Odmawiają mu prawa powrotu do domu. Wtedy synowi pozostaje już tylko rozpacz. Nawet gdyby któregoś dnia zastanowił się i uznał swój błąd, to nie ma do kogo wrócić. Z kolei inni rodzice popełniają błąd przeciwny – za wszelką cenę usprawiedliwiają błędzącego. Wynajdują tysiące okoliczności łagodzących. Twierdzą na przykład, że jest on jedynie ofiarą kolegów, środowiska, telewizji, gazet. Usprawiedliwiają syna, czynią jednocześnie wszystko, aby nie cierpiał, mimo że nadal błądzi! Płacą za szkody wyrządzone przez błędzącego i dbają o to, by jemu samemu nadal niczego nie brakowało. W takiej sytuacji syn będzie błądził dalej. Czasem tak długo, aż umrze. Dlaczego bowiem miałby się zastanowić i zmienić, skoro nie ponosi naturalnych konsekwencji własnych błędów?

Ojciec z przypowieści nie popełnia żadnego z tych błędów, tak typowych dla rodziców tej ziemi. On nawet w dramatycznych okolicznościach potrafi kochać w sposób dojrzały i dostosowany do postępowania syna. Nie wycofuje się miłości. Nie przekreśla syna. Dom i ramiona ojca pozostają dla syna ciągle otwarte. Ale też nie próbuje uchronić syna od cierpień, które błędzący sprowadza na siebie własnym postępowaniem. Ojciec wie, że syn ma szansę na ocalenie tylko w jednym przypadku: gdy będzie cierpiał! Cierpienie, które przychodzi jako konsekwencja własnych błędów, jest dobrodziejstwem, bo stwarza szansę na refleksję, otwiera błędzącemu oczy. Pozwala odróżnić dobro od zła. Kochający ojciec o tym wie i dlatego nie próbuje chronić syna przed zawinionym cierpieniem. Syn wykorzystuje szansę. Uświadamia sobie swoją pomyłkę. Pod wpływem cierpienia przemienia się w syna powracającego. Wraca nie dlatego, że jest głodny (wtedy zdecydowałby się raczej np. na kradzież niż na powrót), ale dlatego, iż rozumiał, że lepiej jest być choćby sługą u kochającego ojca, niż pozostawać niewolnikiem tego świata, albo niewolnikiem własnych iluzji o łatwym szczęściu.

Nie jest jednak łatwo powrócić, gdy się daleko odeszło. Nawet jeśli ktoś szczerze tego pragnie i jeśli uznał już swój błąd, nie jest mu łatwo powiedzieć: „Ojcze, zgrzeszyłem”. Powracający syn zasługuje więc na szacunek. On sam lęka się spotkania z ojcem i wstydzi się powrócić, ale ku jego zaskoczeniu powrót przemienia się w wielkie święto. Syn przekonuje się, że ojciec nigdy nie przestał go kochać, że codziennie wychodził na drogę i żył nadzieją, iż on wróci. I że tylko z tego względu nie próbował go chronić przed cierpieniem. Powracający syn odzyskuje wszystko: miłość i prawdę. Odtąd nie będzie wątpił, że ojciec go kocha, ani nie będzie się już ludził, że może być szczęśliwym bez ojca, czy wbrew ojcu. Święto w domu ojca nie jest jednak pełne, bo oto drugi syn ma żal do ojca, że ten wyprawia ucztę marnotrawnemu bratu. Ojciec ciesząc się z ocalenia powracającego syna nie krzywdzi przez to tego, który nie odszedł. Nie każe mu się dzielić swoją częścią majątku z bratem. Syn powracający będzie musiał długo ponosić konsekwencje odejścia i pracować w pocie czoła, by odzyskać to, co utracił. Brat nie przyłącza się jednak do radości z jego powro-

tu – nie rozumie, że największym świętem jest przebywanie w domu ojca. Powracający syn cieszy się ojcem bardziej niż ten, który od niego nigdy nie odszedł. Bo można nie odejść, a mimo to kochać zbyt mało.

Sądzę, że drugim – obok wspomnianej przypowieści – czytelnym sposobem opisywania wychowującej miłości Boga Ojca jest odwołanie się do tego, co uczynił Jezus w czasie ostatniej Wieczerzy: wziął chleb, pobłogosławił, połamał i rozdał. Bóg Ojciec wziął z miłością każdego z nas od zawsze i na zawsze. Dzięki temu nie musimy za wszelką cenę walczyć o miłość tego świata. Możemy wsłuchiwać się w głos Boga, który każdego przygarnia i kocha, a nie w głos tego świata, który segreguje i wielu odrzuca.

Jednocześnie Bóg nieustannie nas błogosławi. Błogosławić to życzyć dobra drugiej osobie, to mówić o niej z szacunkiem, nadzieją i miłością, to potwierdzać słowami i czynami, że jest kochana. Prawda o byciu błogosławionym przez Boga jest człowiekowi niezwykle potrzebna. Tak wielu ludzi czuje się – przynajmniej w niektórych okresach życia, czy w pewnych środowiskach – raczej dziećmi przekleństwa niż dziećmi błogosławieństwa. Ponadto nasza cywilizacja wzmaga głód i potrzebę bycia błogosławionym. Żyjemy bowiem w czasach, w których człowiek łatwiej wypowiada wobec drugiego człowiekiem złe słowo niż dobre. Żyjemy w czasach, w których coraz więcej ludzi nie ma barier i trudności w wyrażaniu agresji, wrogości czy nienawiści, wstydzi się natomiast wyrażać miłość, czułość, wdzięczność. Wielu ludzi wstydzi się błogosławić.

Bóg, który nas kocha, nie tylko przyjmuje nas z miłością, ale nieustannie nam błogosławi. On także chce coś w nas połamać. Chrystus połamał chleb, który wcześniej wziął w swe dłonie i pobłogosławił. W tym geście zapowiedział symbolicznie nie tylko własny los (będzie połamany na krzyżu dla naszego zbawienia), lecz także los każdego człowieka. Potrzeba połamania w sobie czegoś – to ten aspekt Bożej miłości, który rozumiemy i przyjmujemy najtrudniej. Słowa: „łamać” i „połamany” źle nam się kojarzą, bo żyjąc na ziemi czujemy się w różnych wymiarach połamani: często w sposób bolesny i niezasłużony. Zadaniem teologów jest wyjaśnianie, że Bóg łamie nas w inny sposób niż świat. Świat, w którym żyjemy, chce w nas łamać to, co najlepsze i najcenniejsze (naszą wolność, nasze aspiracje i ideały, naszą miłość, nasze sumienie) i chce to uczynić przemocą. Tymczasem Bóg pragnie połamać jedynie to, co jest w nas grzeszne, niedojrzałe, egoistyczne, co zagraża naszej miłości, wolności, realizacji naszego powołania. I Bóg czyni to tylko wtedy, gdy my się na to zgadzamy, gdy współpracujemy z Nim w połamaniu w nas starego człowieka.

Czwarty aspekt Bożej miłości to rozdawanie. Trzeba pomagać wierzącym, by odkryli, że Bóg ich wybrał, pobłogosławił i połamał w nich to, co nie Boże po to, by uczynić ich darem dojrzałej miłości dla innych. Gdyby Bóg rozdał nas bliźnim, zanim pomógłby nam przezwyciężyć naszą grzeszność i nasz egoizm, to okazałibyśmy się darem złym. „Darem” toksycznym. Czasem wręcz trującym. Gdyby natomiast Bóg nie rozdał nas bliźnim, wtedy pozostalibyśmy

starym człowiekiem, człowiekiem egoizmu i grzechu, który nie może być ani szczęśliwym, ani zbawionym.

I jeszcze jedna refleksja na temat prawidłowego rozumienia wychowującej miłości Boga Ojca. Wielu wierzących ma problemy z rozumieniem relacji między Bożą miłością a wszechmocą. Rozumują oni w następujący sposób: jeśli Bóg kocha ludzi i jest wszechmocny, to nie dopuści, by na ziemi pojawiło się cierpienie, choroba, czy wojna. Jeśli On na to wszystko pozwala, to albo nas nie kocha, albo nie jest wszechmocny. Zadaniem teologów jest wyjaśnianie, że Bóg nie używa swej wszechmocy w sposób zupełnie dowolny, lecz wyłącznie według logiki miłości: miłości wychowującej i kompetentnej. Nie użyje więc nigdy swej wszechmocy, aby na przykład kogoś skrzywdzić, czy aby komuś odebrać wolność. Nie użyje też swej wszechmocy po to, aby wybawić kogoś z naturalnych konsekwencji jego błędów, gdyż inaczej człowiek ten nie miałby szans, by się zastanowić i zmienić.

Pomaganie wierzącym, by w adekwatny sposób nazywali Boga Ojca oraz by rozumieli, na czym polega Jego wychowująca miłość, umożliwia osiągnięcie trzeciego celu: pomaganie im, by w dojrzały sposób odpowiedzieli na miłość Boga Ojca.

### **3. Odpowiedzieć na miłość Boga Ojca: pokochać Boga i człowieka**

Pierwszym zadaniem człowieka, który odkrywa Bożą miłość i jej logikę, jest pokochanie Boga nade wszystko. On sam podpowiada to każdemu, kto chce kroczyć drogą błogosławieństw (por. Mt 22,37). Dla wielu wierzących okazuje się trudne do zrozumienia to, w jaki sposób człowiek może pokochać Boga i to pokochać nade wszystko. Nie może przecież okazać Bogu miłości w taki sposób, w jaki okazuje miłość człowiekowi. Nie może na przykład pomóc Bogu w trudnościach, odwiedzać Go w czasie choroby, czy pocieszyć w rozpacz. Trzeba wyjaśniać, że pokochać Boga nade wszystko, to znaczy ufać Mu nade wszystko. Ufać Mu nie tylko bardziej niż innym ludziom, ale także bardziej niż samemu sobie: niż własnemu ciału, własnym emocjom, własnym sposobom myślenia. Miłość Boga do człowieka ma wiele analogii do miłości dziecka wobec własnych rodziców. Małe dziecko nie może pomóc rodzicom w rozwiązywaniu ich dorosłych problemów, nie może zarobić na ich utrzymanie. Ono okazuje, że kocha rodziców najbardziej ze wszystkich ludzi właśnie przez to, że ufa im bardziej niż innym ludziom i niż samemu sobie, że jest im posłuszne nawet wtedy, gdy nie rozumie dlaczego rodzice coś mu nakazują lub czegoś zakazują

Pokochać Boga nade wszystko, to uczynić Go jedynym Panem własnego życia i postępowania. Dojrzałym chrześcijaninem jest ten kto odkrył, że szukanie i pełnienie woli Bożej jest dla niego sprawą najważniejszą, bo decyduje o jakości jego postępowania i jego więzi nie tylko z Bogiem, ale również z samym sobą oraz z drugim człowiekiem. W ten sposób dochodzimy do drugie-

go sposobu okazywania Bogu miłości, mianowicie poprzez miłość okazywaną Jego dzieciom, a naszym bliźnim. Nie można kochać Boga, którego nie widzimy, jeśli nie kochamy człowieka, którego widzimy. Bóg Ojciec – przez swojego Syna – wyjaśnia nam, w jaki sposób pragnie On, byśmy kochali bliźnich – tak jak Jezus, który pierwszy pokochał.

Zadaniem teologów jest wyjaśnianie na czym polega dojrzała miłość bliźniego. Istnieje bowiem wiele błędnych przekonań na ten temat. Sądzę, że błędem najbardziej niebezpiecznym i jednocześnie najbardziej rozpowszechnionym jest przekonanie, że miłość jest uczuciem. Gdyby miłość była uczuciem, wtedy nie można by było jej ślubować. Nie można byłoby składać przysięgi małżeńskiej, ani ślubować wiernej, dozgonnej miłości. Nie możemy przecież ślubować czy przysięgać, że będziemy zawsze przeżywać określone uczucia. Wszelkie uczucia i przeżycia emocjonalne są spontaniczną reakcją organizmu na to, co dzieje się w nas samych i w naszym kontakcie ze światem zewnętrznym. Z tego właśnie względu nie możemy nakazać sobie uczuć, których pragniemy (np. radości, entuzjazmu, wzruszenia), ani zakazać sobie przeżywania uczuć, których nie chcemy, czy które nas niepokoją (np. smutek, gniew, rozgoryczenie, rozpacz). Zmienność emocjonalna jest nieuchronnym elementem ludzkiego życia, związanym z nieuchronną zmiennością sytuacji, których człowiek doświadcza. Przysięgi i ślubowania mogą dotyczyć jedynie decyzji i zachowań, a nie uczuć czy nastrojów. Miłość emocjonalna z samej definicji nie mogłaby być ani wierna, ani trwała.

Zwykle mamy do czynienia z podwójnym błędem: ze zredukowaniem miłości do uczuć oraz ze zredukowaniem bogactwa uczuć przeżywanym w miłości do jedynie przyjemnych stanów emocjonalnych. Oczywiście prawdą jest, że miłości zawsze towarzyszy jakieś uczucie. Nie oznacza to jednak, że miłość jest uczuciem. Ani, że miłości towarzyszą jedynie przyjemne uczucia czy nastroje. Kochając przeżywamy różnorodne uczucia i emocje – od radości, entuzjazmu, satysfakcji i poczucia bezpieczeństwa aż do lęku, rozgoryczenia, gniewu i niepewności. Przeżycia emocjonalne są bowiem przejawem tego, co dzieje się w nas i w naszym kontakcie z innymi ludźmi. A ponieważ my sami i ci, których kochamy, są zmienni, toteż emocje towarzyszące miłości nieustannie się zmieniają.

Skoro miłość nie jest uczuciem, to pojawia się pytanie o to, co stanowi istotę dojrzałej miłości bliźniego. Otóż miłość jest decyzją. Kochać to znaczy podjąć decyzję, by troszczyć się o dobro drugiego człowieka. Kochać to pomagać wzrastać. Także wtedy, gdy pomoc ta wiąże się z niepokojem, ze stawianiem wymagań, z bolesnymi przeżyciami. Miłość w swej istocie jest troską o los drugiego człowieka, a nie romantycznym szukaniem dobrego nastroju. Uczenie się dojrzałej miłości wymaga uświadomienia sobie, w jaki konkretnie sposób tę miłość, która jest troską o człowieka, należy realizować w praktyce. Realizacja miłości bliźniego dokonuje się głównie poprzez określone słowa i czyny. Kochać, to w taki sposób i na takie tematy rozmawiać

z drugim człowiekiem oraz tak wobec niego postępować, by to służyło jego rozwojowi, by wprowadzało go w świat dobra, prawdy i piękna. Miłość wyraża się poprzez wysiłek i aktywność. Miłość jest więc widzialna! Wprawdzie rodzi się ona we wnętrzu człowieka, w tajemnicy jego serca i jego ducha, lecz prowadzi do słów i do czynów, które są widzialne z zewnątrz, które można dosłownie sfilmować i sfotografować. Prawdziwa miłość na tej ziemi jest miłością wcieloną.

Najwspanialszym wzorem miłości wcielonej jest tajemnica Bożego Narodzenia. W tej bowiem tajemnicy niewidzialny Bóg, który jest Miłością, decyduje się przyjąć ludzkie ciało, aby wcielić się w człowieka i jego sytuację. W ten sposób Jego miłość do człowieka może stać się miłością wcieloną, a przez to widzialną. Pełnia czasów, pełnia objawienia się miłości to sytuacja, w której w Chrystusie człowiek może zobaczyć Bożą miłość. Chrystus ukochał nas w taki właśnie wcielony i widzialny sposób. Dlatego Apostołowie mogli powiedzieć, że ujrzeli Bożą miłość własnymi oczami, że na nią patrzyli, że dotykali jej własnymi rękami (por. 1J 1,1). Jeśli miłość ogranicza się jedynie do duchowych pragnień czy emocjonalnych poruszeń, jeśli nie wyraża się przez fizyczny wysiłek, przez służbę drugiej osobie własnym uśmiechem i pracą, własnym zdrowiem i czasem, własną siłą i wytrwałością, to taka miłość jest jedynie złudzeniem, utopią, pustą teorią. Taka miłość nie jest autentyczną troską. Nikogo nie przemieni, nikomu nie doda siły i odwagi, by iść w dobrym kierunku, by nie ustać w drodze. Najbardziej wymownym przykładem miłości wcielonej, na jaką potrafi zdobyć się człowiek, jest miłość macierzyńska, w której kobieta-matka ofiarowuje dziecku część własnego ciała i własnej krwi, ofiarowuje swe siły, zdrowie i czas, aby jej dziecko czuło się kochane i aby mogło się rozwijać.

Z dotychczasowych analiz wynika, że miłość oznacza troskę o dobro drugiego człowieka wyrażaną w sposób widzialny, wcielony w konkretne słowa i czyny. Nie wszystkie jednak słowa i czyny są wyrazem miłości. Mogą one wyrażać także wrogość i agresywność. Mogą niepokoić i krzywdzić. Mogą nawet prowadzić do rozpacz.

Dojrzała miłość stawia nas wobec niezwykle trudnego pytania: w jaki sposób kochać konkretnego człowieka? Każdy człowiek jest przecież inny i niepowtarzalny. z tego względu ta sama miłość powinna wyrażać się przez zróżnicowane słowa i czyny w odniesieniu do poszczególnych ludzi. Czasami mogą to być słowa i czyny bardzo podobne, a czasami zupełnie różne, czy niemal przeciwstawne. W inny przecież sposób wyrażamy miłość wobec dziecka, a w inny wobec dorosłego. Inaczej roznawiamy i inaczej postępujemy wobec ludzi dojrzałych i uczciwych, a inaczej wobec ludzi zaburzonych czy przewrotnych. Inaczej wobec wrażliwych i stawiających sobie wymagania, a inaczej wobec egoistów czy uciekających od prawdy o sobie. Z tego właśnie względu wyjaśniam tym grupom młodzieży i dorosłych, z którymi mam regularny kontakt, by nie oczekiwali ode mnie jednakowego postępowania wobec każ-

dego z nich. Przeciwnie, w miarę jak będę ich coraz lepiej poznawał, będę też coraz bardziej różnicował moje zachowanie wobec poszczególnych osób dlatego, że osobista sytuacja i postępowanie każdej z nich jest odmienne.

Chrystus jest najlepszym wzorem takiej właśnie zdolności, by wyrażać miłość w sposób niepowtarzalny, dostosowany do sytuacji danej osoby. Do jednych odnosił się On z czułością i rozrzewnieniem. Przebacał im, uzdrawiał, dodawał nadziei, długimi godzinami nauczał. Szukał ich i odwiedzał. Bo to właśnie służyło ich dobru i pomagało im przemieniać życie. Wobec innych z kolei, Chrystus był bardzo stanowczy, zdecydowanie bronił się przed nimi, mówił im bolesną prawdę, w bardzo ostrych słowach demaskował ich przewrotność i egoizm. Bo w ich konkretnej sytuacji takie właśnie zachowania stwarzały największą szansę, by się zastanowili i by zmienili życie.

W ten sposób odkrywamy kolejny warunek dojrzałej miłości. Miłość wymaga poznania drugiej osoby. Tylko Bóg może kochać wszystkich ludzi, gdyż tylko On wie, co kryje się w sercu każdego z nas. Natomiast człowiek może kochać w sposób konkretny i indywidualny tylko tych, których poznaje. i tylko na tyle, na ile ich rzeczywiście poznaje. Tylko wtedy bowiem ma szansę odkryć i zrozumieć, poprzez jakie słowa i jakie czyny może najskuteczniej troszczyć się o ich dobro. Wobec tych, których jeszcze nie zna, może mieć jedynie dobrą wolę i gotowość, by ich pokochać – w miarę jak będzie ich poznawał.

Aby poznać bliźniego, trzeba stworzyć warunki, w których drugi człowiek będzie skłonny odsłonić się przed nami. Stworzenie takich warunków wymaga przede wszystkim zapewnienia klimatu bezpieczeństwa. Mój sposób odnośnienia się do drugiej osoby, sposób rozmawiania z nią i traktowania jej powinien być tak przezroczystry, przyjazny i życzliwy, by druga osoba mogła poczuć się bezpieczna, by mogła upewnić się, że jest cenna w moich oczach i że wszystko, czego się ewentualnie o niej dowiem, wykorzystam jedynie dla jej dobra. Kochać więc, to najpierw stwarzać warunki, w których drugi człowiek będzie skłonny odsłonić część własnej tajemnicy. Całej tajemnicy nie zna nawet on sam, dlatego oczekiwanie, że powie wszystko o sobie, jest nierealne i niedojrzałe. Byłoby ono bardziej wynikiem ciekawości czy niezaspokojonych potrzeb, niż przejawem miłości i troski o drugą osobę.

Jednak stwarzając nawet najlepsze warunki bezpieczeństwa i życzliwości, nie mogę mieć pewności, że drugi człowiek rzeczywiście się przede mną otworzy. Tym bardziej nie mogę tego od niego żądać! Tworzenie klimatu bezpieczeństwa jest moim darem dla niego, a jego ewentualna odpowiedź będzie jego darem dla mnie. Nie mogę drugiej osoby zobowiązywać, by się przede mną otworzyła. Wtedy moja miłość nie byłaby bezinteresowna, a więc nie byłaby miłością.

Jeśli uda mi się stworzyć klimat bezpieczeństwa, a drugi człowiek zechce się otworzyć i odsłonić przede mną część swojej tajemnicy, to nie znaczy jeszcze, że ja potrafię go poznać i zrozumieć. Nie może mi on przecież odsłonić bezpo-

średnio swego serca i swego wnętrza. Może jedynie opowiadać o sobie. A w obliczu słów możliwe są nieporozumienia. Z tego względu miłość wymaga nie tylko warunków, w których drugi człowiek będzie miał szansę szczerze mówić o sobie, lecz wymaga także umiejętności prawdziwego wsłuchiwania się w jego słowa. Jest to niezwykle trudna umiejętność. Ideałem w tym względzie jest szczególnego rodzaju słuchanie, zwane empatią. Oznacza ona wczuwanie się w niepowtarzalny świat drugiej osoby. Człowiek wypowiada swój wewnętrzny świat głównie poprzez własne sposoby myślenia oraz własne sposoby emocjonalnego przeżywania samego siebie i otaczającego go świata. Empatia polega więc na precyzyjnym wczuciu się w to, jak dana osoba myśli o sobie i świecie oraz w jaki sposób przeżywa siebie i całą rzeczywistość zewnętrzną. Słuchanie empatyczne to jakby „wejście” do wnętrza drugiego człowieka, jakby wcielenie się w jego subiektywny świat. To patrzenie na świat z perspektywy drugiej osoby, z perspektywy jej historii, jej wychowania, jej osobowości, z perspektywy jej potrzeb i sytuacji w jakiej się obecnie znajduje. Empatia nie oznacza jednak utożsamiania się z drugim człowiekiem. Jest to ważne szczególnie wtedy, gdy świat drugiego człowieka okazuje się z jakiegoś względu niedojrzały, zaburzony, pełen depresji, lęku, poczucia bezradności, czy beznadziejności. Utożsamiając się z takim światem ktoś mógłby wprawdzie świetnie wczuć się w sytuację drugiego człowieka, ale nie mógłby mu pomóc w rozwoju, ani nie potrafiłby dojrzałe zatroszczyć się o niego. Nie mógłby go więc kochać. W historii ludzkości mamy przynajmniej jeden przykład doskonałej empatii. Jest nim Jezus Chrystus. Wcielenie Syna Bożego w nasz ludzki świat to rzeczywiście szczyt empatii. Chrystus wszedł w całą sytuację egzystencjalną człowieka, z jego cielesnością i psychiką, z jego doświadczeniem cierpienia i śmierci. Doświadczając tego stał się we wszystkim podobny do nas, oprócz grzechu. Zamieszkałszy w świecie i w nas, pozostał jednocześnie sobą. Z tego względu może nas doskonale rozumieć, kochać i przemieniać.

Dorastanie do miłości wobec drugiego człowieka wymaga nie tylko wczucia się w jego subiektywny świat myśli i przeżyć. Dojrzała miłość wymaga także zrozumienia jego sytuacji obiektywnej. Okazuje się to tym ważniejsze, im bardziej niedojrzały jest drugi człowiek oraz im bardziej nie rozumie własnej sytuacji. Z natury rzeczy w takiej sytuacji są wszystkie dzieci. Często nie rozumieją one tego, co jest dla nich dobre, ani nie zdają sobie sprawy z tego, co im szkodzi. Pragną zwykle tego, co łatwiejsze, a nie tego, co wartościowsze. Dlatego właśnie rodzice nie kochaliby dojrzałe swoich dzieci, gdyby tylko wczuwali się w ich subiektywne przeżycia oraz pragnienia i bezkrytycznie starali się je respektować czy zaspokoić. Prawdopodobnie tak „kochane” dzieci jadłyby tylko czekoladę i godzinami oglądały telewizję. Innym przykładem jest sytuacja osoby uzależnionej od alkoholu. Do natury choroby alkoholowej należy zaprzeczanie, że jest się człowiekiem uzależnionym. Gdy ktoś wczuwa się w subiektywne sposoby myślenia i przeżywania osoby uzależnionej, lecz

nie rozumie jej obiektywnej sytuacji, wtedy nie może w dojrzały sposób jej kochać. Przeciwnie, będzie poddawał się manipulacji ze strony chorego i wbrew swej woli będzie przyczyniał się do pogarszania jego sytuacji.

Jedynie więc w sytuacji ludzi dojrzałych i zrównoważonych, miłość może oznaczać całkowite respektowanie ich subiektywnych potrzeb, pragnień czy przekonań. Ale jest to raczej sytuacja hipotetyczna, gdyż w praktyce możemy tylko przybliżać się do takiej dojrzałości, lecz nigdy na tej ziemi nie osiągamy jej pełni. Z tego powodu dojrzała miłość wymaga, by w kontaktach z drugim człowiekiem nie ograniczać się tylko do tego, co odpowiada jego subiektywnym oczekiwaniom. Miłość nie może unikać prawdy ani stawiania wymagań. Nic dziwnego, że w niektórych sytuacjach staje się ona znakiem sprzeciwu. Kochać to troszczyć się o dobro drugiego człowieka także wtedy, gdy on sam nie rozumie naszej miłości i gdy czyni wszystko, by nas do siebie zniechęcić. Miłość weryfikuje się najbardziej w chwilach próby i bolesnych trudności. Dopiero wtedy możemy przekonać się i upewnić, na ile rzeczywiście kochamy drugą osobę, a na ile nasza więź z nią oparta jest na emocjach, czy na niezaspokojonych potrzebach.

Istnieje jeszcze jeden aspekt miłości, który wydaje mi się niezwykle istotny i aktualny. Otóż Miłość Boga Ojca przynagla nas nie tylko do tego, byśmy uczyli się dojrzałe kochać naszych bliskich i tych, którzy nas kochają. To zbyt mało. Przecież także poganie kochają tych, którzy okazują im miłość. Odpowiedzią na miłość Boga Ojca, to znaczy przekroczyć granice miłości naturalnej. To znaczy poszerzyć granice miłości o wymiar społeczny. To pokochać tych, którzy są biedni, chorzy, osamotnieni, odrzuceni, bezradni. To zatroszczyć się o tych, którzy sami nie radzą sobie z życiem i którzy nie mogą się nam odplącić za naszą miłość. Ten właśnie wymiar miłości społecznej, charytatywnej jest wyróżnikiem miłości chrześcijańskiej. Przecież Bóg Ojciec nie posłał swojego Syna do zdrowych i świętych, ale do chorych i zagubionych, do tych, którzy się źle mają, do tych, którzy ryzykują, że przegrają życie doczesne i wieczne. I z miłości do tych właśnie ludzi będziemy sądzeni na sądzie ostatecznym!

Znakiem rozpoznawczym chrześcijanina jest zatem miłość charytatywna w wymiarze społecznym. Uczy nas jej Chrystus i tradycja Kościoła od początków jego istnienia. Tymczasem w polskiej praktyce duszpasterskiej po drugiej wojnie światowej ten podstawowy wymiar miłości chrześcijańskiej był na ogół zbyt mało obecny. Głównym tego powodem była sytuacja polityczna, w której znalazł się Kościół. System komunistyczny nie pozwalał na prowadzenie kościelnych szpitali, szkół, przedszkoli, domów opieki, jadłodajni, kolonii, itp. Działalność Kościoła nie mogła wychodzić poza mury świątyni czy salki katechetycznej. W ostatnich dziesięciu latach warunki zewnętrzne, a także potrzeby społeczne się zmieniły, natomiast praca duszpasterska w dużym stopniu pozostała w formie typowej dla warunków życia w ustroju komunistycznym.



W tym kontekście symptomatyczne okazuje się zestawienie głównych nurtów obecnej duszpasterskiej posługi Kościoła w Polsce i w krajach Europy Zachodniej. Na Zachodzie – na przykład w Niemczech – dominującym nurtem w działalności Kościoła jest wymiar charytatywny i społeczny. Zakres tego typu działalności jest tak duży, że w konsekwencji Kościół w Niemczech okazuje się drugim – po państwie – dawcą pracy. Z drugiej strony coraz mniej wierzących w Niemczech przychodzi na niedzielną Mszę Świętą, coraz mniej się modli i spowiada, coraz mniej ma osobistą więź z Chrystusem, coraz mniej osób kieruje się w życiu osobistym i rodzinnym Bożymi przykazaniami i zasadami Ewangelii. Nieco upraszczając można powiedzieć, że Kościół w Niemczech stara się kochać potrzebujących, ale nie stara się wystarczająco modlić i żyć w obecności Chrystusa. Grozi to przekształceniem się w ziemską instytucję charytatywną, kierującą się jedynie logiką humanizmu i filantropii.

W Kościele polskim możemy dostrzec inne zagrożenie. W naszych parafiach wiele osób uczestniczy w niedzielnej Mszy Świętej, modli się, spowiada, bierze udział w katechezie, w rekolekcjach parafialnych, w pielgrzymkach, w grupach formacyjnych. Większość z tych ludzi stara się kierować w życiu osobistym i rodzinnym przykazaniami Bożymi i zasadami Ewangelii. Zarówno jednak ci ludzie, jak i ich duszpasterze zwykle znacznie mniejszą wagę przywiązują do działalności charytatywnej, do troski o biednych, bezrobotnych, samotnych, chorych, uzależnionych, kalekich, bezradnych. Ciągłe jeszcze do wyjątków należą parafie, gdzie duszpasterze starają się nie tylko być organizatorami modlitwy i formacji, ale także organizatorami miłości w wymiarze społecznym. Tymczasem w liście apostolskim *Tertio Millennio Adveniente* Jan Paweł II wzywa chrześcijan, by „bardziej zdecydowanie potwierdzili opcję preferencyjną na rzecz ubogich i odepchniętych” (n. 51).

Rolą teologów jest w tej sytuacji przypomnienie, że kult i formacja duchowa, bez aktywnej miłości wobec ludzi potrzebujących, przestaje być chrześcijaństwem i przeradza się w jakąś doktrynę czy ideologię. Z drugiej strony działalność charytatywna, która nie wypływa z osobistej więzi z Chrystusem, lecz jedynie z ludzkiej wrażliwości, przestaje być chrześcijaństwem i przeradza się w filantropię, która zwykle obejmuje troską tylko niektóre grupy ludzi potrzebujących pomocy i z czasem okazuje się coraz bardziej przedsięwzięciem ekonomicznym, a coraz mniej bezinteresowną służbą bliźniemu. Miłość Boga Ojca przynagla nas do tego, byśmy modlili się i kochali. Byśmy kochali Boga nade wszystko, a bliźniego ze względu na Niego. Także tego bliźniego, który najbardziej potrzebuje naszej pomocy, który nie może się nam odpłacić za naszą miłość i z którym najbardziej utożsamia się Jednorodzony Syn Boga Ojca.

**Fr. Marek Dziewiecki God the Father – the educating love**

Il primo compito dei teologi consiste nella ricerca scientifica sui dati biblici e sulla Tradizione per formulare la dottrina cristiana in modo preciso e metodologicamente corretto. Il secondo compito è quello pastorale e consiste nel portare l'uomo a Cristo. Questo compito esige dai teologi la capacità di tradurre i risultati della loro ricerca scientifica nel linguaggio pastorale, cioè quello semplice e concreto, che si rifa all'esempio del Vangelo stesso.

L'Autore analizza tre compiti pastorali che dovrebbero affrontare i teologi che conducono la ricerca sul mistero di Dio Padre. Loro dovrebbero aiutare i fedeli a saper nominare Dio Padre, a saper capire il suo Amore ed a saper rispondere al suo Amore. In quanto al primo aspetto bisogna spiegare ai fedeli che tutti i nomi, con i quali ci rivolgiamo a Dio, vanno usati e capiti nel senso analogo. Bisogna pure favorire l'uso di vari nomi, per evitare il rischio che qualcuno pensi a Dio nel senso unilaterale e/o sbagliato. In quanto al secondo aspetto bisogna spiegare che Dio ci ama in modo educativo. Egli non è ingenuo o crudele. Dio non ci manda delle croci e/o sofferenze. Quando però sbagliamo, Egli permette che soffriamo – come il figlio prodigo – per poter riflettere sulla nostra condotta e per poter ritornare a Dio. In quanto al terzo aspetto il compito dei teologi consiste nell'insegnare i fedeli ad amare Dio soprattutto e gli uomini così come Gesù ci amò per primo. Con il Santo Padre (cfr. TMA, 51) bisogna sottolineare che l'amore cristiano si esprime in modo particolare attraverso il servizio ai poveri ed ai rifiutati.